

Guy de T ramond.

Tajemniczy zbrodniarz.

(T łm. Marya Toczyska).

32

Kapitanie!

„Zechciej pan porzucić zamiar niewykonalny. Osoba, która już raz pospieszyła z pomocą uczciwej dziewczynie, potrafi ją wyrwać z pańskich ohydnych machinacji. Upór swój, który jest dla niej obelgą a dla pana bezowocnym wysiłkiem, przeplacić pan może życiem. — Dobrej głowie dość po słowie“.

Zamiast podpisu widniała data: 28 lutego 1907 r.

— Ten list został napisany w przeddzień fatalnego przyjęcia, panie Lapip . Oto wi c  ródło tajemnicy. Oczywiście kobieta, zawsze kobieta!

— Zane ta Levasseur! — mrukn ł Lapip . — S dzi wi c pan,  e ta biedna robotnica protegowana jest przez kogo  dosy c wpływowego, a eby... no, no, to by o by dosy c zadziwiaj ce i nieprawdopodobne.  e ten zak ad, po lubienia pierwszej napo kanej kobiety o jasnych wlosach, zrodzi  si  w jego pijackim m zgu, to prawdopodobne i  e t , kobiet  mog a by  Zane ta, ale nie trzeba czyni  przypuszcze  dalszych, nie... panie dyrektorze.

Tymczasem dyrektor policji nie zwracaj c uwagi na odpowied  agenta, przerzuca  jakies akta le ące na biurku.

— Oto raport komisarza policji o tej dziewczynie:

„Hafciarka, pracuj ca u siebie... dobra opinia w dzielnicy... uchodzi za uczciw  i pracowit  dziewczyn ... p ci regularnie komorne wynoszące trzysta frank w rocznie... nie przyjmuje nikogo... powr ci a pewnego dnia z banknotem pi ciuset frankowym, otrzymanym jak m wi przez wspania omy lnego jakiego  nieznanego na bulwarze“...

Lapip  drgn ł na te s wa.

— Oh! Oh! to co  ciekawego! Dyrektor nie pojmuj c dobrze znaczenia tego wykrzyknika — wyrzek ł u miechaj c si :

— Nieprawda ? ta historia wydaje si  nieprawdopodobna!

— Przepraszam — przerwa  inspektor — jest zupeln  dok adna... by em w wczas naocznym  wiadkiem tego zaj cia...

M wi c to p blad  a drzenie nerwowe przebiega o jego cia em.

— Co si  z panem dzieje? — zapyta  dyrektor nagle zaniepokojony.

— To on! — wyszepta  Lapip . — To jeszcze on! jestem tego pewny...

— Kto on?...

— Pasazer z „Black Old Dog“... wspania omy lny przechodzie ... go c z hotelu Ksi  at Portugalskich... mandari ... zab jca Fraskopellego. Oni tworz  jedn  i t  sam  osob , za ktor  goni  od roku... i ktor  sobie kpi z policji a przedewszystkiem ze mnie...

— Panie Lapip , co to ma znaczy ? Niech e si  pan wyt łmaczy...

Ale inspektor nie zwa aj c na nic, m wi ł dalej.

— To zdanie z listu „osoba, ktor  już raz pospieszyła z pomoc “... to dow d oczywisty, nie zwalczony. Do dyab a! on tylko by  zdolny do tak zr cznego czynu!... Zabi  kapita a, tak jak zabi  szczura hotelowego... tak, jak zabi  od jednej kuli konia rozbieganego na bulwarze! Ten cz wiek nie cofa si  przed niczem!...

— Niech si  pan uspokoi, panie Lapip  — zwr ci  uwag  dyrektor policji.

Ale Lapip  nie s ucha  go. Szybkim ruchem wyci gn ł ze swojego portfela kawalek papieru, znalezione w pokoiku na sz stem pi rze przy ulicy Malherbes i por wnywa  go z listem le ącym na biurku. I nagle oczy jego sta y si  b dne, usta zadr  y konwulsyjnie.

— Ten sam papier! — wym wi  z trudem — ten sam spos b pisania cyfr... Pismo A. K. 756, znalezione przez Newtona, jest jawnem potwierdzeniem tego, co m wi . To on! to zawsze on! On! morderca bankiera Kopfstraussa!...

Lecz w tej chwili dyrektor policji, ktor  od chwili  ledzi  z niepokojem zachowanie si  Lapip a przycis n ł gwa townie guzik od dzwonka elektrycznego, znajduj cy si  pod jego r k .

Wbieg  ch opak biurowy.

— Pr dko! pr dko! — rozkaza  dyrektor — lekarza!... Telefonujcie po lekarza!... Pan Lapip  uleg  nag emu napadowi sza u!...

Awantura Zane ty.

— Co to jesi, panno Zane to?... Pani ju  wsta a?...



— Pr dko! pr dko! — rozkazywa  dyrektor — lekarza!... Telefonujcie po lekarza!...

Stara dozorczy  domu wspar a na miotle na progu swojej „ o y“, sta a zdumiona widokiem swojej m dziej lokatorki ju  na nogach i got owej do wyj cia za zakupnem mleka o tak wczesnej porze.

— Ale  oczywi cie, pani Bourju, dlaczego to pani  tak dziwi?

— No! po tych wszystkich przej ciach wczorajszych?...

— Noc dobrze sp dzona, powr ci a mi si ly!

— Ah! moja panienko! Nie tak to co prawda, wygl da as wczoraj o p łnocy... kiedy ci  przyprowadzili zem lon , nap   umar  ... w podartej sukience! M j Bo e! co za awantura nieprawda ?...

M wi c to str  ka usun ła si  z progu, zapraszaj c Zane t  do wej cia.

— Opowiedz-no mi m j anio ku co si  sta o? Nie  mia am si  wczoraj pyta  o to patrz c na ciebie tak  nieszcz sliw , ale przyznaj ,  e nie brak o mi do tego ochoty. No i ten zbawca, ktor  niechcia  si  wdawa  w  adne szczeg  y, bo tak si  gdzie  spieszy ... No, panno Zane to, czy napadn ta zosta as przez nocnych w  czeg w, czy te  co innego?...

Zane ta zrozumia a,  e nie potrafi uwolni  si  od starej, je eli nie zadowol  jej ciekawo ci. Zrezygnowana wi c usiad a na krzes e i zaczę a opowiada .

— Zgad a pani, pani Bourju. Wie pani,  e wczoraj wieczorem odnie  m ia am hrabinie Neyst  t  haftowan  sukni . By o par  poprawek i cho  postanowi am powr ci  wcz ejniej, by am zmuszona zatrzyma  si  d u ej. Wys am wi c od hrabiny po godzinie jedenastej. Ulice by y puste, ale nie ba am si  i sz am spokojnie, kiedy niedaleko sta ...

— Ulica nasza jest tak  le o wie lona — j kn ła str  ka, zarzywaj c szczypt  tabaki. — Oh! moje biedne dziecko, trzeba przyzna ,  e opinia nie psuje nas zbyt no...

— Trzech jakich  w  czeg w wyskoczy o nagle z bramy s siedniej kamienicy i rzuci o si  na mnie...

— Bo e Wielki!...

— Wo a am o ratunek... bronila m si ... usi owa am wymkn   si  im, ale napr  no! jeden mnie trzyma  za r ce, drugi zatyka  mi usta chusteczk ...

— A trzeci?...

— Trzeci wyrzek : Doskonale! Id  po auto!...

— Ah! Chryste Panie!...

— I w chwili, kiedy nap   udu szona, m ia am wra enie,  e mdle , cz wiek jaki  zapewne przywo any moimi krzykami rzuci  si  niespodziewanie na apasz w!...

— Dzieln  ch piec! — wykrzykn ła str  ka wpatrzona jak w obraz w opowiadaj c  dziewczyn .

— W kr tszym czasie ni  ja potrzebuj  na te s wa wszyscy trzej n dznicy le eli na ziemi, sk d si  podnie li po chwili, aby zerkn   czempredzej. Wzruszenie tak mnie si  pozbawi o,  e m j zbawca musia  mnie zanie  na r kach a  do  o y pani, kochana pani Bourju, gdzie starania pani przywr ci y mi utracon  przytomno  .

— Ale! — zauwa y a str  ka, ktor j uwagi nie uszed  szczeg     aden — jakim sposobem ten m  dy cz wiek wiedzia  gdzie mieszka  panno Zane to?...

— Musia am mu sama poda  adres... albo te  jest to kto  z tej dzielnicy, ktor  mnie zna...  aluj  tylko,  e odszed  tak pr dko, bo nie mog am mu nawet wyrazi  swojej wdzieczno ci...

— Oh! nie martw si  tem, moja Zane to. On przyjdzie dzi , albo jutro, zasi gn c wiadomo ci o tobie... to pewne! ba pracuje do p  na w swoim magazynie, tak m wi , wi c wolnym ca y dzie  nie jest!...

Zane ta wsta a zabieraj c si  do odej cia.

— Jak go pani zobaczy, to pros  go przys a  do mnie. Ch c mu podzi kowa  osobi cie. Uratowa  mi przecie  życie!...

— Oczywi cie, panno Zane to, pos   go do pani.

M oda dziewczyna ju  by a daleko, kiedy zacna pani Bourju monologowa a jeszcze zamiataj c zamasy cie korytarz.

— I jaki pi kny m  czyzyna do tego! Dys-tyngowany, elegancki. Olbrzymie niebieskie oczy! Zupeln  tak jak w feljetonach romans w. By abym w m odo ci da a wiele za to,  eby mnie wyratowa  taki  adny ch piec! Ta ma a Zane ta ma szcz cie.

Zane ta ze swoim mlekiem dawno ju  powr ci a do swojego pokoiku na g r  a monolog pani Bourju trwa  jeszcze.

Pilnuj c  niadania, gotuj cego si  na kuchence gazowej, m oda dziewczyna rozpami tywa a wydarzenia z ubieglego tygodnia, ktor  przysz y niespodziewanie zam ca  jej spok j.

(Ci g dalszy nast pi).